



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Andrzej Szybiak

Jasło

We wrześniu roku 1940 rozpocząłem naukę w czwartej klasie szkoły podstawowej w Jaśle, mieście położonym w podkarpackiej kotlinie, gdzie się schodzą trzy rzeki: Jasiołka, Wisłoka i Ropa. Tam nas rzucił przesiedleńczy los. Wojna wojną, wojenna bieda biedą, ale szkoła powszechna była w zasadzie kontynuacją przedwojennej szkoły. Chociaż lekcje geografii i historii zostały usunięte z programu przez okupanta, a do przedmiotów przyrodniczych i nauki religii nie wolno było używać podręczników, nasi wspaniali nauczyciele starali się nam przekazać wszelką wiedzę, jaka się mogła w naszych, niezbyt jeszcze pojemnych głowach zmieścić.

Przy ul. 3 Maja, którą hitlerowcy jakoś po swojemu przemianowali, znajdowała się księgarnia i wypożyczalnia książek pani Strzeleckiej. Dużo tych książek tam nie było, ale za to jakie! Jasielskie gimnazjum oczywiście było zamknięte, a w bursie gestapo urządziło sobie siedzibę i katownię.

Od czasu do czasu ludzie przekazywali sobie wiadomości, że kogoś zabrała niemiecka policja, co oznaczało, że ten ktoś został zabrany do któregoś z pobliskich kacetów, w Szczebniach albo we Frysztaku. Trudno sądzić, żeby każdy, kogo aresztowano, był kimś bardziej niebezpiecznym dla hitlerowskiej Rzeszy, niż przeciętny obywatel. Niemcy zabierali ludzi według jakiegoś swojego klucza, bo w pobliżu Strzyżowa budowali podziemną bocznicę kolejową. Nie słyszałem, żeby ktoś stamtąd wrócił. Nienawiść do okupanta była rzeczą powszechną i naturalną. Niektórzy Polacy ukryli aparaty radiowe i ukradkiem słuchali Londynu i zaufanym przyjaciółom przekazywali wiadomości. Za to groziło wywiezienie do kacetu. Wprawdzie wtedy denuncjacje były czymś zupełnie wyjątkowym, ale „wpadka” kończyła się w katowni gestapo. Znad Sanu nadchodziły wieści o tym, że Niemcy dyskretnie koncentrują tam wojska i ciężką broń. A potrzebując rąk do pracy na roli i w fabrykach, masowo wywożą ludzi do Rzeszy. Na wsiach rekwirują zboże, bydło i wszystko, co żołnierz niemiecki mógł zjeść.

Wojna niemiecko-sowiecka wzmocniła nadzieję. Hitlerowcy hałaśliwie rozgłaszają wiadomości o spalaniu przez NKWD więzienia we Lwowie, ogłaszają w gazetach listę ekshumowanych z masowych grobów odkrytych w Katyniu i o innych zbrodniach sowieckiego aparatu władzy. W oknie wystawowym księgarni pani Strzeleckiej ustawiają wielką mapę, a na tej mapie rzędem chorągiewek zaznaczają postępy niemieckiej armii na froncie wschodnim. A równocześnie do szpitali zwożą żołnierzy niemieckich z potwornymi odmrożeniami. Ożywia się handel pokątny i rozbudowują się polskie organizacje podziemne. Raz po raz wykolejąją się pociągi niemieckie wiozące wojsko i sprzęt na wschód.

Terror hitlerowski wzmagą się. Z naszej szkoły zabrali kilku chłopców, braci Reichmanów, i wraz z ich rodzicami zastrzelili ich na kierkucie. Reichmanowie byli Żydami i mieli podrobione „aryjskie” kennkarty. Takie kennkarty władze okupacyjne wydawały na podstawie fikcyjnych, wydanych przez

proboszcza metryk chrztu na trzy pokolenia wstecz. Znajomego gospodarza z Brzysk rozstrzelali za to, że dorznął chore na różycę prosię. Łapanki, wywózki, wreszcie rozstrzeliwania „zakładników” nie prowadzą do zamierzonego przez hitlerowców celu.

Wreszcie przychodzi ukrywana przez Niemców przez miesiąc czasu wiadomość, że armia niemiecka poniosła druzgocącą klęskę pod Stalingradem. Wkrótce też usunęli mapę z okna wystawowego księgarni. Rozlepiane na murach karteluski z napisami „Niemcy zwyciężają na wszystkich frontach” zastąpili napisami „Niemcy zwyciężają dla Europy”. Terror hitlerowski w Guberni wzmagą się nadal. Mój brat cioteczny, Karol, wrócił pewnego dnia z akcji na Zamojszczyźnie do rodzinnej wsi bez broni i bez kurtki. Broń wkrótce zdobył i nie przestał walczyć. Pewnego wiosennego dnia przyszła wiadomość, że armia sowiecka przekroczyła przedwojenną granicę Polski.

Jako mieszkańcy Małopolski, byłego zaboru austriackiego, nie mieliśmy większego pojęcia o tym, czego można oczekiwać po armii sowieckiej. Wiedzieliśmy tylko, że sowieccy żołnierze, a zwłaszcza oficerowie, są niezmiernie łasi na zegarki i na alkohol. Wiedzieliśmy też na pewno, że hitlerowcy, gdyby tę wojnę wygrali, to by niezwłocznie przystąpili do „ostatecznego rozwiązania polskiego problemu”, a Sowietci chyba nam pozwolą żyć. Nasze pojęcia o ustroju komunistycznym i o życiu ludzi w kraju, gdzie wyzysk człowieka przez człowieka został rzekomo raz na zawsze zniesiony, nie były bardziej zgodne z rzeczywistością, niż nasza wiedza o „Dzikim Zachodzie” ukształtowana na lekturze kowbojskich i indiańskich bredniopisów. Podobnie nasza wiedza o Syberii. Wieści o masowych wywózkach na Syberię w latach 1939-1942 też były skąpe. O akcji „Burza” wiedzieli tylko wtajemniczeni. W powszechnym przekonaniu, wypędzenie Niemców przez Sowietów miało być wyzwoleniem.

Na wiosnę roku 1944 naszą szkołę zajęło wojsko niemieckie. Lekcje dla uczniów z Jasła odbywały się jednak nadal w wiejskiej szkole, kilka kilometrów od miasta. Chodziłem wtedy do 7. klasy. W tym czasie Armia Krajowa wykonała kilka wyroków śmierci na konfidentach hitlerowskich. Hitlerowcy odpowiedzieli na to wymordowaniem „zakładników”, ludzi aresztowanych pod byle jakimi pretekstami. Pięćdziesięciu Polaków za każdego zdrajcę. Zamordowani zostali m.in. dwaj nasi sąsiedzi, rzemieślnicy jasielscy. Na opublikowanych listach rozstrzelanych okupant napisał, że „za przynależność do nielegalnej organizacji i nielegalne posiadanie broni”. Volksdeutsche wyjechali z miasta. „Nieznani sprawcy” opróżnili więzienie. Na szosie do Biecza, w pobliżu wsi Kowalowy, zginęli dwaj żołnierze niemieccy jadący na motocyklu. Strzały padły z lasu. W odwiecie, hitlerowcy wymordowali wszystkich mieszkańców Kowalów, a wieś spalili. Mówiono, że kilkunastu mężczyzn z tej wsi Niemcy oszczędzili, ale tylko po to, by ich zagnać do kopania rowów i stawiania bunkrów. Front był coraz bliżej. Sowietci przekroczyli Bug, San i Wisłok. Nadeszła wieść o wybuchu Powstania Warszawskiego. Wszyscy byli przekonani, że wojska sowieckie wykorzystają Powstanie do szybszego przekroczenia Wisły i pogonienia wspólnego wroga dalej. Uciekinierzy ze „wschodu” objaśniali jednak pozostawienie powstańców i ludności Warszawy na pastwę hitlerowców tym, że dla władzy sowieckiej jesteśmy takim samym wrogiem, jak i Niemcy. A front był już kilkanaście kilometrów od Jasła. Sowieckie samoloty zwiadowcze pojawiały się nad miastem i my, maolaty, obserwowaliśmy z zaciekawieniem, jak niemiecka artyleria przeciwlotnicza pracowicie, ale mało skutecznie odstrasza je szrapnelami. Nocami niebo omiatały światła reflektorów. Niemcy, żeby pokazać, że jednak zwyciężają (dla Europy, oczywiście), przeprowadzili przez ulice miasta około 30 jeńców sowieckich, brudnych, wynędzniałych i apatycznych. Przy jednej z ulic ustawili zepsuty sowiecki czołg. Oczywiście, chłopcy od lat pięciu do pięćdziesięciu, i jeszcze starsi, oglądali go dokładnie. Ktoś rozpowszechnił wiadomość o sowieckiej broni raketowej zwanej katusza, podobno strzelającej z trzydziestu luf naraz. Ci, co słuchali radia, podawali półgłosem, że chlubę niemieckiej techniki, pociski raketowe V-1, polscy i angielscy lotnicy zestrzelują z łatwością, zanim te doleczą nad Londyn.

Zaczęły się sowieckie bombardowania, przeważnie nocne, niewielkimi bombami odłamkowymi. Ludzie uciekali wtedy do piwnic. W końcu wszyscy mieszkańcy przenieśli swoje pościele do piwnic. Ofiar w ludziach było niewiele. Okupant rozrzucił po mieście ulotki, że w konsekwentnym dążeniu do zwycięstwa Rzeszy wkrótce nastąpi pewne przegrupowanie sił, że wojska nieprzyjacielskie na pewien czas wejdą do miasta, żeby jednak ludność nie traciła nadziei, bo rządy niemieckie wrócą, a ich opiekuńczy stosunek do ludności polskiej może ulec zmianie, o ile pod nowym okupantem będziemy niegrzeczni, itd. itp. Propaganda hitlerowska doszła wtedy do szczytu przewrotności, ale nie wiedzieliśmy jeszcze, że pod następnymi opiekuńczymi rządami dostaniemy do czytania jeszcze lepsze kawałki.

Front zatrzymał się około 10 kilometrów na wschód od Jasła. Pod koniec sierpnia władze okupacyjne wydały rozkaz ewakuacji. Dostaliśmy trzy dni na opuszczenie miasta i przeniesienie części mienia dokąd oczy poniosą, byle nie w kierunku frontu. Przypuszczalnie Niemcy wiedzieli, że w Jasle i okolicach jest silna partyzantka polska, która w wojnie pozycyjnej byłaby dla nich dokuczliwa na tyłach. Jasło było ważnym punktem strategicznym, bo była tam rafineria ropy naftowej i krzyżowały się w nim drogi kolejowe i jezdne ze wschodu na zachód i z północy na południe w kierunku Przełęczy Dukielskiej. Następnego dnia od rana ulicami i drogami, sznur ludzi objuczonych tobołkami ciągnął

w kierunku mostu na Wisłoce. Wysiedleni znajdowali tymczasowe zakwaterowania po wsiach. Większość mienia trzeba było zostawić, chociaż Niemcy pozwalali obrócić kilka razy w ciągu trzech dni. Wysiedlonych nie rewidowano. Jeszcze po tych trzech dniach niektórzy odważni przekradali się do miasta, żeby coś jeszcze uratować ze swego mienia. Niestety, zdarzało się, że szumowiny miejskie włamywały się do cudzych mieszkań i kradły. Niemcy patrzyli na to przez palce, ale po paru tygodniach patrole zaczęły strzelać do przekradających się do miasta. A potem Niemcy zaczęły systematycznie niszczyć i palić miasto.

Po paru przenosinach zakwaterowaliśmy się z ojcem i moim młodszym bratem w Jabłonicy, wsi ciągnącej się w długiej dolinie u stóp Liwocza, zalesionej góry o pięknej, stożkowej sylwetce, mierzącej sobie 531 m n.p.m. Nasi gospodarze, Berkowicze, byli biedni, jak cała wieś i jak całe Podgórze. Pola mieli mało i z czworgiem dzieci trudno by było z tego żyć. Mieli dwa piękne konie i w lepszych czasach gospodarz dorabiał sobie jako woźnica. Najstarszego ich syna, Jaśka, wywieźli na roboty do Niemiec. Dwaj młodsi, Broniek i Gienek, w wieku około 20 lat i córka, Stefka, tyrali na gospodarce wyręczając schorowanego już ojca. Chłopcy mieli przemyślnie urządzone kryjówkę z wejściem do komory, gdzie się chowali na każdy znak, że Niemcy są we wsi. Wkrótce zżyliśmy się ze sobą i zaprzyjaźnił. Rodzina żyła w ciągłej obawie, żeby chłopców Niemcy nie zabrali na roboty, albo żeby nie zabrali koni. Raz już mieli chęć zabrać, ale jeden z nich powiedział, że to są ogiery i tylko ich gospodarz wie, jak nimi powodować. I tak Niemcy zabrali im trzy krowy i wszystką nierogaciznę, jaka w gospodarstwie była. Zostali z jedną krową, koźmi i psem Dunajem. Mieliśmy ze sobą worek mąki, worek cukru i pewną sumę pieniędzy, ponieważ rodzice zawczasu sprzedali resztki przedwojennego dorobku. Za pieniądze trudno było coś do jedzenia kupić, bo wszędzie była bieda.

Oddział wojska niemieckiego stacjonował około 10 kilometrów dalej, zdaje mi się, że w Szyrzynach. Od czasu do czasu robił wypadki po wsiach i zabierał ludzi do kopania rowów i stawiania bunkrów przyfrontowych. Tacy kopacze rowów pracowali w pierwszej linii frontu i byli narażeni na ostrzał. Kilku z Jabłonicy zginęło. Opowiadano, że jeden z nich próbował się przekraść na sowiecką stronę i wyleciał na niemieckiej minie. Uciekinierzy ze Wschodu komentowali to tak, że lepiej dla niego, bo gdyby mu się udało, to by go Sowietnicy zaraz uznali za faszystowskiego „szpijona” i torturowali, zanim by go rozstrzelali. Trzeba przyznać, że kopacze rowów otrzymywali u Niemców wyżywienie z żołnierskiego kotła, skąpe bo skąpe, ale sprawiedliwie dzielone na równi z żołnierzami. Pewnego razu przyszedł żołnierz niemiecki i powiedział wprost, że jest głodny i prosił coś do jedzenia. Ojciec, który mówił dobrze po niemiecku, tłumaczył. Odwiecznym polskim zwyczajem dostał posiłek. Żołnierz to żołnierz. Był to górnik z Westfalii, zabrany od żony i dzieci i pogoniony na wojnę, żeby realizować straszne plany Hitlera i jego bandy. Pokazywał fotografie dzieci i powiedział: „Żeby się ta wojna skończyła, to bym na piechotę do domu szedł”. Innym razem przyszli dwaj żołnierze z jakiegoś oddziału specjalnego, bo jeden z nich miał karabin szturmowy V6. Bekotali „genzj, genzj”. Ojciec zapytał ich po niemiecku, czego chcą. Powiedzieli, że mają dostać gęś. W całej wsi już od dawna nie było gęsi. To zastrzelili na podwórzu kurę, zabrali i poszli. Kiedy indziej przyszli tutaj dwaj inni i kazali sobie dać dwie kury. Jeden z nich strzelił do kury, ale chybił, a wtedy wszystkie kury pochowały się pod poddenkami i Niemcy poszli jak niepyszni rabować gdzie indziej. Sądzę, że gdyby się ich dowódca dowiedział, że żołnierze rabują na własną rękę, to by ich surowo ukarał. Ale nikt przecież nie miał odwagi iść na skargę.

Innym razem wpadli zniemacka żołnierze i zrobili łapankę na chłopców do kopania rowów. Broniek z Gienkiem błyskawicznie dali nura do swojej kryjówki. Byłem właśnie w stodole, kiedy posłyszałem zawzięte szczekanie Dunaja. Wylazłem przez okno do podawania snopów i zobaczyłem, że na podwórzu stoją dwaj żołnierze z karabinami w rękach i jakiś oficer. Wiedziałem, że to łapanka, że jestem za mały, żeby mnie wzięli (miałem wtedy 13 lat) i że właśnie lepiej zrobię nie chowając się przed nimi. Oficer podszedł do rzucającego się na łańcuchu Dunaja, wyjął z kabury pistolet Po8 i zbliżył mu do nosa. Przysiadłem przy psie i objąłem go za szyję, żeby go jakoś uciszyć. Niemiec popatrzył na mnie, uśmiechnął się i schował pistolet. Zauważyłem, że nie zatrzasnął bezpiecznika. A więc chyba nie miał zamiaru strzelać. Tym razem Niemcy kazali się odwieźć do swojej kwatery, ale nikogo nie złapali ani niczego nie zabrali.

Nadeszła wieść o tragicznym zakończeniu Powstania Warszawskiego. Z radia nie mieliśmy wtedy żadnych wiadomości. W gazetach przynoszonych od przypadku do przypadku z Biecza znajdowały się przechwałki hitlerowców na temat ich nowej cudownej broni, V2.

W lasach na Liwoczu było wtedy dużo grzybów. Przez całą jesień grzyby z dodatkiem mąki, ziemniaków i mleka były naszym głównym pożywieniem. Nocami Niemcy siedzieli w „swoich” kwaterach i bali się nosa wychylić. A do chałup przychodzili partyzanci i zbiegli z niemieckiej służby „własowcy” i wyjadali, czego dopadli. Objadali gospodarzy i nas. Jednej nocy przyszedł prawdziwy oddział Armii Krajowej. Dowódca miał karabin, jakiego jeszcze nigdy nie widziałem. Widząc, z jakim zainteresowaniem przypatruję się tej osobliwej broni, wyjaśnił mi, że to jest dziesięciopistolet, samopowtarzalny karabin konstrukcji kapitana Maruszka. Że jest cięższy od zwykłego mauzera, ale równie celny

i niezawodny a skuteczniejszy w walce. W czasie wojny obronnej we wrześniu kpt. Maruszek zestrzelił z takiego karabinu niemiecki samolot. A gdyby Polska miała jeszcze kilka lat pokoju, to byśmy byli inaczej uzbrojeni, nie tak, jak we wrześniu 1939 roku. Partyzanci zjedli, ileśmy byli w stanie im dać i poszli w ciemną noc. Gdzie oni nocowali w te zimne listopadowe i grudniowe noce? Sądzę, że nie zawsze w lesie, że w stodołach z cichym przyzwoleniem jabłonicznych gospodarzy.

Wigilia w roku 1944 wypadła w niedzielę. Właśnie wychodziliśmy na ranną mszę w kaplicy, kiedy na drodze zauważyłem kilku żołnierzy idących od strony Czerminy z karabinami szturmowymi gotowymi do strzału w rękach. Sądząc po uzbrojeniu i kurtkach w ochronnych kolorach byli to żołnierze z jakichś oddziałów specjalnych, może SS. Cofnęliśmy się do chałupy. Za chwileczkę już byli na podwórzu, przejrżeli pobieżnie gospodarstwo i szli dalej. Wyszedłem na dwór. W jednym momencie jeden żołnierz z drogi strzelił długą serią ze szturmowego karabinu w kierunku krzaków. Zaraz zaczęli strzelać ci, co byli na podwórzu. Nie widziałem, do kogo strzelali. Za chwilę strzelanina ustała, Niemcy poszli dalej i przeczesywali wieś. Od czasu do czasu było słycać serie z karabinów szturmowych i pojedyncze strzały. W dwóch miejscach widać było, że się budynki palą. Nie oddalaliśmy się od domu, bo wszędzie we wsi byli Niemcy. Broniek z Gienkiem siedzieli w swojej ciasnej kryjówce nie dając znaku życia. Po południu do chałupy naszych gospodarzy weszło z dziesięciu Niemców. Jeden z nich, mówiący po polsku, zażądał podwoły. „Musimy tych bandytów odwieźć” powiedział. Ale kogo złapali, jakich to „bandytów”, tegośmy nie wiedzieli. Gospodarz nieśmiało wymawiał się, że jest chory. „To ten pojedzie!” – powiedział Niemiec wskazując na mnie. Gospodarz powiedział, że to miastowy chłopak, to go konie nie będą słuchać. W końcu zaprzęgnął swoje konie i powiózł Niemców, gdzie mu kazali. Ale nie wiedzieliśmy dokąd. Niemiec powiedział zapłakanej gospodyni półgłosem, że gospodarza jutro zwolnią. Poszli. Wkrótce przysła zapłakana sąsiadka i opowiedziała, że jedno gospodarstwo spalili, bo zobaczyli, że jakiś „leśny” przebiegł za stodołą i nie zatrzymał się, kiedy Niemcy wołali „halt!” Ten „leśny” znikł gdzieś w krzakach i go nie złapali. Drugą chałupę spalili i zabrali wszystkich, bo w stodole znaleźli ukrytego własowca, dezentera. Tamci gospodarze nic o nim nie wiedzieli, ale to Niemców nic nie obchodziło. Po zmroku, kiedy było pewne, że ostatni Niemcy opuścili wieś, Broniek i Gienek wyleźli ze swojej kryjówki. Wszyscy byliśmy tak przygnębieni, że nie robiliśmy wieczery wigilijnej. Podzieliliśmy się opłatkiem życząc sobie nawzajem, żeby się TO rychło skończyło, żeby gospodarza wypuścili. I odmówiliśmy modlitwy za nagle zmarłych. Za wszystkich. Za Jabłończan, za partyzantów, za Kałmuków-dezenterów, za tych co kopią rowy, za wywiezionych do łagrów.

Na drugi dzień rano nasz gospodarz wrócił z końmi. Wrócili też wszyscy zabrani na podwoły. Gospodarz opowiedział, że odwiózł Niemców i schwytanych rannych „bandytów” do jakiegoś dowództwa. Dostali wojskową wieczerzę, on i inni woźnice, a ten Niemiec mówiący po polsku, co gospodarza zabrał, zaprowadził ich do stajni na górę i tam pozwolił im przenocować. Dał im nawet po papierosie i zastrzegł, że tu nie wolno palić, żeby ognia nie zaproszyć, ale mogą sobie zapalić za stajnią, tak, żeby nikt nie widział. Późnym rankiem kazał wszystkim odjechać. Jeden z woźniców opowiadał po drodze, czego był świadkiem poprzedniego dnia, w czasie obławy. Na punkt zborny w Jabłownicy przywieźli wozem jakiegoś Kałmuka z przestrzelonym brzuchem. Jeden oficer coś powiedział do żołnierza, a ten kazał rannemu zejść z wozu i on zlął jakoś o własnych siłach. Żołnierz strzelił do tego Kałmuka z odległości kilku metrów, przestrzelił mu klatkę piersiową, a ranny zachwiał się i stał dalej na nogach. Wtedy oficer dobił go strzałem z pistoletu w głowę. Wydawało się, że ani jednego polskiego partyzanta wtedy Niemcy nie złapali ani nie zabili, ani też nikt do Niemców tego dnia nie strzelał. I całe szczęście, boby w odwecie spalili całą wieś.

Własowcy – dezenterzy nie mieli broni, a sądzą, że partyzanci, jako ludzie wojskowo wyszkoleni i doświadczeni w terenie wymknęli się z obławy i zaszyli w lasach na Liwoczu. A tych lasów Niemcy nie byli w stanie przeczesać pomimo, że w obławie brało udział jak się po latach dowiedziałem ponad tysiąc żołnierzy i oficerów tyłowych. Po tej wielkiej obławie Niemcy już nie robili najść na Jabłonicę.

Wreszcie 14 stycznia rano, usłyszeliśmy huraganowy ogień artyleryjski od strony frontu. Po godzinie ogień ucichł. A pod wieczór małe oddziały niemieckich żołnierzy i taboru szły przez Jabłonicę drogą w kierunku Czerminy. O zmierzchu jeden kryty furgon zaprzężony w parę koni zatrzymał się na drodze tuż poniżej chałupy naszych gospodarzy. Nie mieliśmy odwagi podchodzić bliżej, bo uciekający wrogowie byli jednak uzbrojeni. Rano zobaczyliśmy, co się stało. Wóz zsunął się jednym kołem do przydrożnego rowu i tak został. Żołnierz powożący tym wozem przykrył konie kocami i poszedł do sąsiadów po przeciwnej stronie drogi i poprosił o przenocowanie. Oczywiście, nie odmówiono mu. Rano, ale nie całkiem wcześnie rano, przyszedł do nas. Coś mówił, nieco poddenerwowany, ale ojciec przemówił do niego po niemiecku. Gospodyni się rozplakała, bo myślała, że może znowu przychodzą ludzi łapać do kopania rowów. Żołnierz nie zwracał na to uwagi i powiedział, że on chce iść dalej, ale coś u wozu mu się zламаło, a zniknął mu z wozu rower i on pozwoli sobie tego roweru w obejściu poszukać. Pochodził koło stajni i koło stodoły, ale roweru nie znalazł. Ojciec powiedział gospodyni, żeby nie płakała, bo żołnierz wkrótce sobie pójdzie. A żołnierzowi zaproponował, żeby zjadł z nami skromne śniadanie. A tego dnia mieliśmy mleko do kartofli! Był rozmowny po kilku miesiącach spę-

dzonych w okopach. Miał 22 lata (a więc miał około 12, kiedy Hitler doszedł do władzy), był synem rolnika, a na wojnę zabrali go od ojcowskiej gospodarki. Na deser dostał od gospodyni szklaneczkę samogonki. Podziękował, powiedział coś na pożegnanie, odprzągnął swoje konie od zepsutego furgonu i poszedł. Po kilku godzinach nadjechał od wschodu samochód, a w nim dwaj Niemcy. Zatrzymali się koło unieruchomionego furgonu i zawołali mnie i brata (Broniek i Gienek wciąż ostrożnie nie wyłazili z kryjówek) i kazali nam przynieść zawartość zepsutego furgonu do auta. Były tam materiały sanitarne, amunicja i trochę rzeczy osobistych żołnierzy, chyba jednego plutonu. Korzystając z nieuwagi żołnierzy, wrzuciłem do rowu w śnieg dwa pudełka z rakietami sygnałowymi i kilka małych pudełek z nabojami do mauzera i pistoletowymi. W pewnej chwili Niemcy dali znak, że dość i odjechali. Rzucone w śnieg naboje były nasze! Resztą ładunku furgonu zajęli się sąsiedzi, weterani Września i pierwszej wojny światowej. Rozpoznali, że kostki wyglądające jak mydło, to kostki materiału wybuchowego. Przy dzieleniu łupu dostałem narty i rakiety. Wieczorem partyzanci rozstrzelali sołtysa. Dopiero teraz, żeby Niemcy nie zrobili w Jabłonicy tego, co w lecie zrobili w Kowalowach.

Na drugi dzień Niemców już w jasielskiem nie było. Kilka kilometrów na zachód od Jabłonicy Sowieci zaszli drogę uciekającym Niemcom i kilkunastu zastrzelili. Na drodze do Szyrzyn jakiś oddział niemiecki porzucił broń i żołnierze uciekali. Kilku kawalerów zaopatrzyło się tam w karabiny i amunicję. Mnie, małoletniemu, przypadł tylko bęben i taśma od „suki”. Dla nas wojna jakby się skończyła. Nie wyobrażałem sobie wtedy, że mogą być ludzie, którzy nie mają jeszcze dość wojny i zabijania. Wkrótce miałem się przekonać, że jednak są tacy.

Co teraz? Dokąd się udać? Jasło zostało w jesieni doszczętnie a bezsensownie spalone. Po kilku dniach pożegnaliśmy się serdecznie z gospodarzami. Broniek podwiózł nas saniami za Wisłokę i dalej, przez wyludnione wsie gdzieś koło Strzyżowa. Na mijanych domach widzieliśmy plakaty z obelgami na Armię Krajową. I jeszcze jakieś o parcelacji. Nic z tego nie rozumiałem. Pytałem ojca, co to znaczy „faszysta”. Powiedział, że dawniej, jeszcze przed wojną, bolszewicy tak nazywali wojska hiszpańskie, broniące swojej ojczyzny przed komunistami. A teraz chyba nazywają faszystami tych, których chcą zwalczać. Niewiele z tego rozumiałem. We wsi, gdzieśmy się zatrzymali, nazwy której nie pamiętam, zatrzymaliśmy się kilka dni. Potem przyjechał saniami wujek, który nas zabrał do siebie nad San.

Dowiedzieliśmy się, że kuzyn Karol, oficer Batalionów Chłopskich, ukrywa się. Dlaczego? Po tym, jak Niemcy odeszli? Ano w lecie Sowieci zrzucili na niemieckie tyły frontu patrol dywersyjno-rozpoznawczy. Karol nawiązał z nimi kontakt i zaopatrywał ich we wszystko, czego mógł im dostarczyć. Dowódca tego plutonu nazywał się Niszczymienka, był Białorusinem i mówił po polsku. Lata po wojnie Karol wspominał go jako uczciwego człowieka i towarzysza walki. Ci Sowieci mieli ze sobą mapy i radiostację, ale bez pomocy polskich partyzantów mieli by kłopoty z ukrywaniem się i wykonaniem swoich zadań. Kiedy Czerwona Armia przekroczyła już San, ich dowództwo urządziło w Dubiecku „bankiet”. Na tę uroczystość zaprosili również polskich partyzantów. Karol, niczego nie podejrzewając ze strony „sojuszników”, poszedł tam. Gościli go, poili, wznosili „toasty za pabiedu” i podarowali Karolowi pistolet TT. W nocy Karol poszedł do siebie, na Hutę. Do domu nie doszedł a zatrzymał się na nocleg u sąsiada po drodze. Nad ranem przyszło jakieś dziecko z wiadomością, że po Karola przyszli Sowieci, nie byli to frontowi żołnierze. Zrobili rewizję i straszili ludzi, żeby powiedzieli, gdzie się Karol ukrył. No i Karol poszedł do lasu. Tak to powstawały po wojnie „leśne bandy”.

A na Zasaniu, lewobrzeżnym przysiółku Sielnicy, stacjonowali czterej żołnierze z armii „kościuszkowskiej”. Byli to niewątpliwie Polacy. Pochodzili z dawnych Kresów i przechwalali się, jakie wielkie majątki ziemskie tam mają. Wszyscy przeszli przez sowieckie łagry. Jeżeli o tym mówili, to na ucho, ale kiedy sobie popili, to śpiewali „łagierskie” piosenki. Opowiadali też często o rzeziach na Wołyniu. Oczywiście, nie mogli być świadkami tych rzezi, bo przecież ten czas spędzili w niewoli, w głębi „Kraju Rad”. A jednak opowiadania te na swój sposób trafiały do wyobraźni budząc strach przed okrutnymi banderowcami. Gdzie tam Wołyń, a gdzie Przemyskie! W sąsiednich wsiach było sporo ludności grekokatolickiej. Grekokatolicy sami siebie określali jako Rusini i tak też byli nazywani. Przed wojną stosunki sąsiedzkie między Polakami a Rusinami układały się bardzo dobrze. Po wkroczeniu Sowieców w roku 1944, krasnoarmiejcy wypędzili Rusinów ze Słonego, z Ruskiej Wsi i z Dubiecka i wywieźli ich w głąb „Kraju Rad”. Tam wysiedleni nie musieli nawet budować demokracji ludowej a od razu zostali zapędzeni do budowania socjalizmu. Ale na tym nie koniec. Nasi dzielni kościuszkowcy byli dla wiejskich kawalerów autorytetami w sprawach wojny i polityki. Stosunkowo łatwo tworzyli nastrój wrogości wobec sąsiadów grekokatolików, czyli jakby banderowców zastępczych. Nocami po wsi chodziły uzbrojone patrole kawalerów czatujące na napaść osławionych „rezunów”. Ale rezuny się nie pojawiały. Co tu robić, jak ręce świerzbią.

Na przedwiośniu udało się naszym dzielnym kościuszkowcom sformować trzy zbrojne bandy i pod ich dowództwem dokonano pierwszej napaści na sąsiednią wieś, Pawłokomę, gdzie część ludności (nie wiem jaka część) to byli grekokatolicy. W zastępstwie banderowców, jakich tam nie było, zabili kilku czy kilkunastu sąsiadów Rusinów i trochę porabowali. Jak zabijać to zabijać. Rzymskokatolikom też się dostało.

Trudno sądzić, że ci czterej kościuszkowcy działali na własną rękę, tak jak owi maruderzy niemieccy, co czasami zabrali kurę. „Nasi” dzielni kościuszkowcy kontaktowali się od czasu do czasu z dowództwem i zaopatrywali się tam w amunicję i to, co zrobili, na pewno było uzgodnione z „komandującymi”. Jak wszyscy chłopcy w moim wieku bawiłem się bronią, ale powody do nagłej napaści na sąsiadów, zwykłych rolników, nie były dla mnie zrozumiałe. Z uznaniem odniosłem się do faktu, że wujek, weteran pierwszej wojny i inni stateczni gospodarze nie wzięli udziału w napaści. Wkrótce też wynieśliśmy się stamtąd do innej wsi, gdzie było spokojniej.

Wojna się skończyła. Karol ranny wpadł w ręce „zbrojnego ramienia demokracji”, ale w końcu przeżył. Poszedłem w dużym mieście do gimnazjum. Wstąpiłem do harcerstwa. Po paru latach zaczęły się aresztowania wśród funkcyjnych harcerskich i zgnębionych biedą nauczycieli. Po akcji „Wisła” San unosił mnóstwo trupów. Głoszono, że wszędzie czai się wróg klasowy i że musi on zostać zwalczony w interesie trwałego pokoju i demokracji ludowej. Oficjalna historia obciążyla perfidnie Armię Krajową odpowiedzialnością za kilka napaści na Pawłokomę, gdzie zginęło około trzystu mieszkańców tej wsi. A przecież AK została rozwiązana w październiku 1944 roku[†], zaraz po Powstaniu Warszawskim, z rozkazu Naczelnego Wodza.

[†] Armia Krajowa została rozwiązana 19 stycznia 1945 roku (Encyklopedia Powszechna, PWN, 1988).